

Agnieszka Piórek

Ślady życia i działalności Żydów powiatu kolbuszowskiego

Rocznik Kolbuszowski 6, 200-216

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ślady życia i działalności Żydów powiatu kolbuszowskiego

CIĄGLE ŻYWY ŚLAD

*„ Dzisiaj nie chce mi się wierzyć,
że nie ma ich (...)
A w dawnych czasach
stanowili połowe mieszkańców miasta
i byli bardzo inni od nas”
(Zdzisława Bytnarowa)*

1. CIĄGLE ŻYWY ŚLAD

Historia Żydów kolbuszowskich rozpoczyna się prawdopodobnie od osiedlenia się w mieście w 1700 roku rodziny Geldzahlerów. Wskazuje na to informacja przekazywana w ustnej tradycji w gronach żydowskich. Wspomina o tym również w liście do mojej mamy Norman Salsitz (Naftali Saleschutz) Żyd, który kiedyś mieszkał w Kolbuszowej. Z czasem było ich więcej i więcej. Na przełomie XIX i XX wieku stanowili już większość ludności Kolbuszowej. W 1890 r. na 3111 mieszkańców miasta 2047, czyli 65,7 % było wyznania mojżeszowego. (J.Bardan, 1995, s.9). Ludność żydowska skupiała w swoich rękach handel. We wtorek - dzień targowy miasto tętniło życiem, w sobotę natomiast kiedy Żydzi obchodzili swoje cotygodniowe święto - szabas (szabat) - całkowicie zamierało. (E.Maciągowa).

Przed II wojną światową wygląd, rytm pracy, cały charakter Kolbuszowej był typowy dla miasteczka żydowskiego. Aż trudno uwierzyć, że dzisiaj nie ma ich już w Kolbuszowej. II wojna światowa przyniosła zagładę Żydów. Nieliczni, którzy przeżyli opuścili miasto w ciągu kilku kolejnych lat. I chociaż Żydów nie ma w naszym mieście, zostawili po sobie szereg śladów zarówno materialnych (zabudowa rynku, synagoga, kirkut, nieliczne pamiątki obrzędowe), jak i trwały ślad we wspomnieniach mieszkańców miasta, a szczególnie w pamięci swoich potomków.

Swoją pracę oparłam na wspomnieniach mojej mamy o dziadku - Janie Płaszczyńskim (mój dziadek był pochodzenia żydowskiego; po wojnie ochrzcił się, zmienił nazwisko i ożenił się z katoliczką) i o Żydach, którzy w czasach jej dzieciństwa mieszkali w naszym mieście. Niestety wspomnienia te są niepełne. Dziadzio niechętnie opowiadał o przeszłości, a mama była zbyt młoda, żeby zrozumieć wartość jego opowieści. Dopiero teraz, gdy już jest za późno mama żałuje, że tak mało wie o przeszłości swojego ojca i o losach jego rodziny. Do większego zagłębienia się w dzieje przodków skłonił Ją odnaleziony w pokoju dziadzia równiutko poukładany stos kopert, a w nich różne dokumenty. Było wśród nich: świadectwo złożenia przez niego egzaminu czeladniczego w zawodzie rzeźnika (grudzień 1947 r.) wystawione na nazwisko Jakub Plawker. Był to pierwszy krok do głębszego zainteresowania się losem mojej rodziny. Następnym ważnym krokiem było odnalezienie w archiwach parafialnych aktu chrztu i daty ślubu kościelnego dziadzia. Znalazła też odpis aktu zmiany nazwiska i postanowienie sądowe o odtworzeniu metryki.

Ze strzępków wspomnień dziadzia, ze starych dokumentów i zdjęć, z wielu opisów książkowych (znajdują się one w archiwum historycznym Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej) na naszych oczach ukazuje się niezwykła, przejmująca opowieść o losach Żydów, którzy w XIX w. stanowili znaczną większość ludności kolbuszowskiej. Są to losy ludzi, którzy nadawali kształt naszemu miastu, dyktowali jego rytm.

Jak ja wspominam dziadzia? Był wspaniałym, silnym, pełnym oddania i miłości człowiekiem. Wiedziałam o „inności” dziadzia, ale nigdy mi ona nie przeszkadzała, a wręcz przeciwnie byłam i jestem bardzo dumna z jego pochodzenia i historii naszej rodziny. Zawsze starał się pomagać ludziom, którzy do niego się zwracali. Niektórzy znajomi szydzili z jego dobroduszości mówiąc „Co to ? *Instytucja charytatywna?*”. On jednak zawsze odpowiadał „*A dzięki komu ja żyję?*”.

Jest piękny słoneczny dzień 5 października 1997 r. Pamiętny dzień. Zmarł ostatni kolbuszowski Żyd. Wróble wtórują dzwonom kościelnym. Śpiewem swym żegnają nie tylko Jego, ale wszystkich starozakonnych, którzy kiedyś mieszkali w naszym mieście. Kondukt zmierza na ... cmentarz katolicki !? Chwileczkę ! Przecież miejsce zmarłego jest na kirkucie - cmentarzu żydowskim. Aby dowiedzieć się dlaczego tak jest, musimy cofnąć się w czasie - poznać historię Jakuba Plawkera.

Bohater tej opowieści jest mi szczególnie bliski - to mój dziadek. Jakub (Jankiel) Plawker urodził się 10 III 1912 r. w Kolbuszowej Dolnej jako syn Ashera Zeliga Plawkera i Leji (Leah) z domu Lichtblau. (Rodzina Leji prawdopodobnie zmieniła nazwisko na Królik, ponieważ w jednej z metryk prababcia moja wpisana jest jako Leah zd. Lichtblau Królik). Miał liczne rodzeństwo (jak to w rodzinach żydowskich): siostry: Esterę (ur. 1915 r.),

Pinkę (Shpritznę; ur. 1906 r.) Matkę, Małkę, Reizkę oraz dwóch braci : Berka (ur. 1909 r.) i Mojżesza.

Rodzina dziadzia była dobrze sytuowana. Hodowali bydło, mieli dużo pola, ale uprawą i rolą zajmowała się służba. Posiadali nawet rower, co było w tamtych czasach rzadkością i świadczyło o zamożności. Babka Jakuba była znana ze swej sklerozy. Pewnego dnia wyszła z domu i nie wróciła. Wszyscy bardzo się martwili. Rozpoczęto poszukiwania, które trwały dwa dni. Znalaziono ją wreszcie w Nowej Wsi jak moczyła nogi w kałuży. Jankiel i jego rodzeństwo spędzali czas głównie w towarzystwie dzieci katolickich. Chociaż rodzice ubierali się zgodnie z obyczajem żydowskim (Zelig, tak jak inni mężczyźni, nosił brodę, jarmułkę na głowie, Leah zaś perukę), dzieci nie nosiły tradycyjnych strojów. Rodzina Plawkerów nie była co prawda ortodoksyjna, ale w domu przestrzegano zasad religii żydowskiej. Świątowano w szabat. Sobota była dniem całkowitego odpoczynku. Dlatego moja prababcia Leah gotowała w piątek i szczerlnie zamknięte garnki wstawiała do rozgrzanego pieca. W szabat nie zapalano nawet zapałki. W domu Plawkerów, podobnie jak w innych domach żydowskich, nie spożywano mięsa wieprzowego. Z czasem nieco się to zmieniło. Powodem tego stała się wizyta mojej chorej na płuca prababci w sanatorium w Krynicy. Pewnego dnia odwiedził ją syn Berek. Akurat spożywała śniadanie. „*Mama wie co mama je?*” — zapytał. „*To dla zdrowia*” - odpowiedziała Leja. „*Ale to szynka wieprzowa*”. Leah natychmiast przerwała posiłek i podbiegła do przebywającej na tym samym turnusie żony rabina by zasięgnąć jej opinii. Rabinowa odpowiedziała, że dla zdrowia wszystko wolno, spożywanie wieprzowiny w tym przypadku nie jest grzechem. I od tego czasu prababcia pozwalała dzieciom jeść wieprzowinę, twierdząc, że nie ma sensu jeździć do sanatorium żeby leczyć się wieprzowiną skoro może ją spożywać w domu. Przestrzegała jednak starej żydowskiej zasady: mianowicie rozdzielienia zastawy stołowej: osobno do nabiału, osobno do mięsa.

Cała rodzina mieszkała w Kolbuszowej Dolnej. Do dziś stoi tam dom rodzinny dziadzia, choć nieco rozbudowany. Plawkerowie przyjaźnili się z chrześcijanami. Sąsiedowali z rodziną Pączków, z którą mieli wspólną studnię w płocie. „*Plawkerówny to były bardzo ładne dziewczyny*” - wspomina jeszcze dziś Władysław Pączek. Pan Władysław pamięta nawet śmierć pradziadka Zeliga, który zmarł w sile wieku na serce. Pradziadek całe życie nie chorował. Był bardzo silnym mężczyzną. Przeżywano go nawet „Gnieciuch”. Nie wolno mu było nikogo uderzyć, bo mógł niechcący zabić. Jeśli się na kogoś zdenerwował, to przygniatał go tylko do ściany. Zelig pracował w rzeźni Rappaporta, która mieściła się w budynku przy obecnej ulicy Piłsudskiego. Moja mama wspomina, że gdy była w szkole podstawowej istniała tam jeszcze chłodnia.

Dziadzio uczęszczał do szkoły podstawowej. Jednak w wieku 14 lat

postanowił przerwać naukę i rozpoczął pracę w rzeźni Rappaporta w Kolbuszowej i Rozwadowie, gdzie zatrudnieni już byli jego ojciec i brat Berek. Była to poniekąd rodzinna tradycja. Pracowali tam zarówno Polacy jak i Żydzi i doskonale im się współpracowało, bardzo szybko się ze sobą zaprzyjaźniali. W rzeźni spędzali pięć dni - od poniedziałku do piątku. Sobota i niedziela były dniami wolnymi - sobota była świętem żydowskim, zaś niedziela katolickim. Praca trwała na okrągło całą dobę. Jedyny czas na odpoczynek znajdowali po oskórowaniu cielaka, gdy czekali aż mięso ostygnie. Przespali się godzinę czy dwie i wracali do swych obowiązków. Praca ta była bardzo męcząca, szczególnie dla czternastoletniego chłopca. Zdarzało się, że dziadzio zasypiał idąc do domu po pracy na szabat. Budził się, gdy był już pod bramą swojego domu.

Jeszcze przed wojną (miał wtedy ok. 25 lat.) ożenił się z Żydówką z Krakowa Bertą Reich. Zamieszkali w Krakowie, jednak Jakub nie mógł przyzwyczaić się do dużego miasta i przenieśli się do Kolbuszowej. Zamieszkali na obecnej ulicy Nowe Miasto w domu pani Winiarskiej. Urodził im się syn, który w 1939 r. miał 2 lata.

Wojna zastała braci Plawkerów (Jakuba i Berka) w Rozwadowie. Stamtąd udali się na tzw. uciekinierkę lwowską. We Lwowie rozdzielili się. Berek twierdził, że tam też dotrą Niemcy, a nie wiadomo było czy ktoś z najbliższych w Kolbuszowej jeszcze żyje. W związku z tym wyjechał w głąb Związku Radzieckiego. Później zaciągnął się do Armii Andersa. Gdy stacjonowali w Iraku wraz z grupą Żydów przedostał się do Izraela i tam zamieszkał. Dziadzio jednak wierzył, że rodzina żyje i powrócił do Kolbuszowej. Jednak jego rodzinny dom był całkiem pusty. Wszyscy mieszkali już w getcie, gdzie sytuacja była bardzo trudna. Zagęszczenie ludności było niewyobrażalne. Mimo wszystko mieszkańcy kolbuszowskiego getta żyli w lepszych warunkach niż Żydzi z Rzeszowa. Po ośmiu miesiącach od założenia getta ludzie już umierali z głodu, zabijali się walcząc o skórę chleba. Walenty Twardoń - kolbuszowski landrat prześladował Żydów. Był najbardziej okrutnym gestapowcem w okolicy. Mordował dla zabawy. (F.Kotula, 1999, s. 91)

W 1942 r. Żydów kolbuszowskich przewożono do getta w Rzeszowie. Jedną z sióstr dziadzia ukrywała się w Porębach Dymarskich. Gdy dowiedziała się, że jej rodzinę wywożą do Rzeszowa, postanowiła do nich dołączyć. Żadnymi siłami nie dało się jej powstrzymać. W getcie rzeszowskim były jeszcze gorsze warunki niż w Kolbuszowej. Panował nieopisany ścisk i głód. Znajdowali się tam nie tylko Żydzi z Rzeszowa i Kolbuszowej, ale także innych pobliskich wsi i miasteczek. Ludzie mieli jednak nadzieję, że Jahwe wywiedzie ich z tej niewoli, tak jak kiedyś wywiódł ich przodków z niewoli egipskiej. Czekali jednak na inny los. Zginęli w obozie w Bełżcu lub w lasach głogowskich. Wśród skazańców była także rodzina dziadzia. On sam jednak przeżył. Wraz z grupą silnych mężczyzn wywieziony został

do Kolbuszowej, gdzie pracował przy rozbiórze domów w getcie oraz przy regulacji rzeki i innych zleconych zadaniach. Gdy robotnicy byli już niepotrzebni, zdecydowano o ich likwidacji. Granatowy policjant dał im znać, że planowane jest ich zamordowanie. Wówczas 41 skazańców, w tym młody chłopiec - Maniuś (gdy wybuchła wojna miał 12 lat) zdecydowało się na ucieczkę. Przeżyło tylko ośmiu, z których dziś znanych jest czterech: Norman Salsitz (Naftali Saleschutz), Orłowski (Orgiel), Jan Płaszczyński (Jakub Plawker) oraz Max Notowitz (Marian Notowicz). Uciekinierzy rozbiegli się, a Maniuś został sam. „*Chodź Maniuś - przeżyjemy to oba, zginiemy to oba*” - powiedział wtedy dziadzio do chłopca. Ukrywali się w okolicznych lasach. Mieli tam kryjówki - nory, w których siedzieli przykucnięci, pokuleni wiele godzin. Później Maniuś chodził przygarbiony. Wtedy dziadek klepał go po plecach, napominał, że musi się prostować, aby mieć zdrowy kręgosłup. Wiezorami i w nocy wychodzili do ludzi, żeby zdobyć pożywienie. Pomocy udzielali im państwo Kozłowscy z Kolbuszowej Dolnej, Dudzińscy z Kolbuszowej, Bajorowie z Brzezówki. Pewnego dnia dziadek swoje skórkowe buty oddał panu Kozłowskiemu, a wziął od niego w zamian drewniaki. Jeden zgubił w zaspie (a śniegu było wtedy nawet po pas). Całą okupację chodził więc bosy. Bardzo często jedli karpiele i zdarzało się, że pili wodę z sadzawek, w których żyły żaby.

Kilka razy dziadzia złapali Niemcy. Raz SS-man prowadził go obecną ulicą Piekarską. Gdy byli na skrzyżowaniu Jakub odwrócił się i uderzył Niemca głową w piersi. Chociaż żołnierz był wysoki, dziadek, który siłę odziedziczył po ojcu Zeligu, wywrócił go i zdołał uciec. Kiedyś, gdy pożywiał się u pani Bajorowej przyszli do niej Niemcy. Dziadek szybko wyskoczył przez okno. Pani Bajorowa zrobiła szum, zaczęła krzyczeć: *panowie, jak to dobrze żeście przyszli. Tu był bandyta*". Dziadzio w tym czasie zdążył uciec. Wśród okupantów można było znaleźć ludzi, którzy potrafili okazać serce i zrozumienie. Pewnego wieczoru dziadzio wszedł do domu państwa Markiewiczów. Zastał tam Niemców siedzących przy stole, jednak nie stracił głowy. Wiedział, że w domu nie ma syna państwa Markiewiczów, dlatego zapytał czy jest on w domu. Gdy otrzymał odpowiedź, wyszedł. Jeden z Niemców poznał go, ale nie zdradził. Odwrócił tylko głowę i udawał, że nie widział kto wchodzi.

I tak razem z Maniusiem przeżyli wojnę.

Po wojnie chłopiec wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Mieszka do dziś w Memphis. Dziadek natomiast powrócił do Kolbuszowej. Niewielu już Żydów tam zostało: Jermuś, Hersiu Wachtel, Lajwe Roszwald, Lejbowicze, rodzina Rotchbardów. Ale i oni z czasem opuszczali rodzinne strony. Zaraz po wojnie wyemigrowali Hersiu Wachtel i Lejbowicze. Z rodziny Lejbowiczów został jedynie Hersiu. Bał się On wydarzeń marcowych, jednak ogromne przywiązanie do swego konia trzymało go nadal w kraju. Dopiero śmierć ukochanego zwierzęcia zdecydowała o jego wyjeździe. Było to na wiosnę

1968 r. Kolbuszowę opuścili także Jermuś i rodzina Rotchbardów. Orgiel wyjechał do Wrocławia i zmienił nazwisko na Orłowski. We Wrocławiu ukończył medycynę i pracował w tamtejszej klinice. Był człowiekiem bardzo zdolnym, szybko więc awansował do tytułu docenta i długie lata był ordynatorem II kliniki internistycznej. W roku 1968 emigrował z żoną i synem do USA. Do dziś mieszka w Nowym Jorku na znanej Fifth Avenu. Został Lajwe Roszwald, który żył z chrześcijanką. Zmarł w 1979 r.

Został jeszcze Jakub Pławker - mój dziadek. Był całkiem sam. Rodzina zginęła przecież na wojnie, a jedyny brat, który przeżył był daleko, na innym kontynencie. Dziadzio poznał uroczą dziewczynę z Kolbuszowej Dolnej - Weronikę Kusikównę. Właśnie ze względu na nią 21 czerwca 1947 r. w Kościele p.w. Wszystkich Świętych przyjął chrzest. Sakramentu udzielał mu ksiądz dziekan Józef Fryz. To właśnie Weronika pomagała Mu się przygotować do tego wielkiego wydarzenia. Wcześniej nie myślała o małżeństwie z Jakubem w przeciwieństwie do niego. Podczas sakramentu chrztu modliła się za niego pod ołtarzem Matki Boskiej Częstochowskiej. I w tym niezwykłym momencie przez głowę przebiegła jej ta myśl: *„Matko Najświętsza, jak on już tu wszedł, to ja go już nie opuszczę, ja za niego wyjdę za mąż. Nam będzie dobrze.”*

Jakub na chrzcie przyjął imię Jan (gdyż było to przed dniem św. Jana), zmienił również nazwisko, do czego namówili go koledzy. To oni właśnie zaproponowali „Płaszczyński”. Jan Płaszczyński.

W tydzień po chrzcie - 29 czerwca 1947 r. odbył się ślub Jana i Weroniki. Wydarzenie okazało się wielką sensacją. Gdy ks. Fryz po mszy niedzielnej odczytał zapowiedzi, podniósł się taki szum, że musiał poczekać chwilę, aż ludzie się uspokoją. Ponieważ wokół tych wydarzeń (chrzest i małżeństwo z katoliczką) narosło wiele kontrowersji zarówno w środowisku katolickim jak i żydowskim (w okolicy mieszkała jeszcze jedna Żydówka Ruchla Rachela Messing, która była bardzo oburzona tym wydarzeniem) dziadzio nie będąc pewnym czy postępuje właściwie, poprosił listownie o radę swego brata Berka. Odpowiedź brzmiała: *„Jeśli robisz na dobrze, to ja nie mam nic przeciw temu. Ale pamiętaj, rób na dobrze, jeśli na źle, to nie rób tego.”*

Weronika i Jan zamieszkali w Kolbuszowej przy ulicy Niecałej, w domu, w którym była kahalna rzeźnia drobiu i pokoje dla Żydów, przyjeżdżających do synagogi. W 1948 r. urodził im się syn Andrzej, rok później córka Krystyna - moja mama.

3 stycznia 1950 r. dziadzio został aresztowany za posiadanie kilku dolarów. Przez dwa lata pracował w kamieniołomach w Wojcieszowie. Babcia Weronika została z pięcioletnią córką i rok starszym synem bez wszelkich środków do życia. Była jeszcze zmęczona po porodzie, nie pracowała. Wtedy zaczęła się jej długoletnia choroba. Był to nowotwór złośliwy. Dziadzio przez długie lata jej trwania próbował robić wszystko

żeby ją uratować. Zawiózł ją nawet do znanej kliniki swego przyjaciela dr Orłowskiego (Orgiela) we Wrocławiu. Niestety dobrze wiedział, że to i tak już nie pomoże.

Babcia zmarła w 1969 r. Dziadzio po raz drugi stracił żonę - najbliższą osobę. Patrząc na życie Jana prawdziwym staje się stwierdzenie, że historia lubi się powtarzać. W 1984 roku jego syn Andrzej wyjechał do USA, gdzie znalazł pracę na tzw. „wysokościach”, 1 maja 1986 r. miał miejsce tragiczny wypadek. Wujek spadł z 42 piętra. Dziadzio po raz drugi stracił syna. Było to dla niego bardzo bolesne, podobnie jak dla mojej mamy.

Ale jak to w życiu, są chwile pełne cierpienia i te pełne radości. Myślę, że radość dziadziowi sprawił fakt, że naród niemiecki stara się w jakiś sposób zadośćuczynić za krzywdy wyrządzone Żydom podczas wojny. W 1995 r. dziadziowi przyznany został przez MAKIMILIAN - KOLBE -WERK medal „Za wasze cierpienia - nasza miłość.”

Bardzo radosne chwile dla dziadzia miały miejsce w 1983 r. i w 1997 r.

Był lipiec 1983 r. Mama siedziała na tarasie. Była w domu sama. Moja starsza siostra Beata wyjechała z wujkiem Andrzejem i jego rodziną nad morze. Mnie i mojego brata nie było jeszcze na świecie. Co prawda mama miała wówczas gości z Wrocławia: swojego wujka i ciotkę, ale w tym czasie pojechali z dziadziem na grzyby. Była godz. 18:00. Zza rogu domu wyszedł starszy mężczyzna

- Czy tu mieszka pan Płaszczyński ? - zapytał.
- Tak, ale nie ma go w tej chwili w domu.
- Czy to córka ?
- Tak.
- Krysia ?
- Tak.
- Ty wiesz kto ja jestem ? Ty mnie poznajesz ?

Akcent zdradzał mamie, że jest to człowiek wyznania mojżeszowego. Przez chwilę przemknęła jej myśl: może to wujek Berek ? Nigdy go jednak nie widziała i nie chciała popełnić jakiegoś nietaktu. Odpowiedziała więc:

- Nie wiem, nie znam.
- To ty listy do mnie pisałaś.
- Wujek Berek !?

Wówczas usiadł na krześle obok i rozplakał się. Mama zaprosiła gościa do domu i zaczęli rozmowę. W tym momencie nadjechał dziadzio z rodziną, wszedł do domu i zastał tam obcego mężczyznę, rozmawiającego z jego córką. Stał przez chwilę i wpatrywał się w twarz gościa. Po pewnym czasie łzy napłynęły mu do oczu, zrozumiał bowiem kim jest ów przybyły. Co działo się z Janem i Berkiem, tego nie da się opisać, trzeba byłoby to zobaczyć. Cały czas płakali. Zaczęli wspominać dawne dzieje. Odwiedzili kirkut. Berek wziął sobie garstkę ziemi z grobu swojego ojca Zelig.

Berek długie lata starał się o wizę do Polski. Nie dostał jej, ponieważ kiedyś służył w Armii Andersa. Wreszcie otrzymał wizę i wybrał się wraz z wycieczką do Polski. Musiał podróżować z grupą, a jedyne na czym mu zależało to przyjazd do Kolbuszowej. Gdy byli w Tuszowie Narodowym, poprosił pilota wycieczki, żeby go puścił do rodziny. Pilot zgodził się. Następnego dnia musiał jednak dołączyć z powrotem do grupy w Krakowie. To właśnie wujek Berek przywiózł ze sobą zdjęcia rodzinne, które posiadamy i te, które znajdują się w Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej.

Drugie ważne spotkanie dla dziadzia to odwiedziny Maniusia - Maxa Notowicza.

L MANIUŚ NOTOWICZ

Maniuś Notowicz przyszedł na świat 31 października 1927 r. Jego ojciec Osias Notowicz (ur. 6 października 1890 r.) pochodził z Kolbuszowej i był właścicielem hotelu z restauracją. Mama zaś wychowała się w Sanoku. Miał dwojkę rodzeństwa: siostrę Niunię (ur. 4 lutego 1926 r.) i brata Leona (ur. 1 stycznia 1932 r.)

Maniuś był bardzo sympatycznym chłopcem. Pan Izydor Furgał, kolega Notowicza z czasów szkolnych wspomina, że był to miły, przystojny, zawsze czysty i zadbany chłopiec.

Gdy w 1939 r. Niemcy wtargnęli do Polski, Maniuś uczęszczał do 5 klasy szkoły męskiej i dodatkowo do szkoły hebrajskiej. Szkoły zostały zamknięte, więc chłopiec zmuszony był przerwać naukę. Wraz z rodziną zamieszkał w kolbuszowskim getcie. Jego ojca wywieziono do obozu w Oświęcimiu, gdzie został stracony lub zmarł 1 listopada 1941 r. Resztę rodziny wywieziono do getta rzeszowskiego, gdzie prawdopodobnie zginęli. Maniuś został w Kolbuszowej. Kiedy zdecydowano o likwidacji pozostałych mieszkańców getta uciekł z grupą 41 innych mężczyzn. Przeżyło z nich tylko ośmiu. Ukrywał się wraz z moim dziadkiem, który go przygarnął i pokochał jak własnego syna. Nieraz Maniuś zdenerwował dziadzia i ten go „trzepnął”. Później jednak żałował i pytał się chłopca „*Maniuś, dlaczego ty to zrobiłeś? Dlaczego musiałem cię uderzyć?*” Wtedy chłopiec odpowiadał „*A może ja tak chciałem*”, jakby chciał czuć, że jest ktoś kto się nim opiekuje, kocha go i upomina, a nawet uderzy, gdy postąpi źle - tak jak ojciec.

Po wojnie Maniuś sprzedał swój dom i wyjechał na Śląsk, gdzie wysiedlano Niemców. Kupił od jednego z nich dokumenty i wyjechał do Niemiec. Stamtąd już bez większych trudności przedostał się do Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszkał jego stryj. Przyjechał do Nowego Jorku i w wieku 19 lat wznowił naukę, mimo że bardzo słabo znał język angielski. Szkołę podstawową ukończył w ciągu 7 tygodni, a liceum w ciągu 2 lat. Następnie zapisał się na Yanderbilt University. Obecnie jako Max Notowitz mieszka w Memphis w stanie Tennessee.

Dziadzio miał z nim kontakt listowny. W 1997 r. otrzymał list z wiadomością, że Max będzie w czerwcu w Polsce. 24 czerwca ok. 8:30 Maniuś do niego zadzwonił. Powiedział, że będzie za godzinę. Dziadzio bardzo mocno przeżywał spotkanie z Notowiczem, którego nie widział od czasu wojny. Max cały dzień spędził z przyjacielem. Wiedział, że jest on chory i może już nigdy go nie zobaczyć. Mimo że w Kolbuszowej miał jeszcze kilku dawnych znajomych, nie spotkał się z nimi. Był tylko na cmentarzu żydowskim, pospacerował po mieście i zrobił zdjęcie swojego dawnego domu. Cały czas z dziadziem wspominali dawne dzieje. Przysłuchiwała się temu jego żona i wnuk, których przywiózł, aby poznali jego rodzinne strony i człowieka dzięki któremu żyje. Wieczorem wyjechali. Na drugi dzień Max zadzwonił zapytać się o samopoczucie dziadzia. Wiedział bowiem, że przy obecnym stanie takie wzruszenie mogło jeszcze pogorszyć stan zdrowia przyjaciela. Kilka dni później, przed odlotem zadzwonił z Warszawy. Był bardzo zadowolony, gdyż w Oświęcimiu odnalazł ślady po ojcu, który zginął w tym obozie. W lipcu przysłał list, w którym napisał: „*Ja teraz czuję, że znalazłem starą albo nową rodzinę*”

Max miał wielkie szczęście, że zdołał jeszcze zobaczyć się z przyjacielem.

Kilka miesięcy później - 5 października 1997 r. mój dziadek zmarł. Odszedł ostatni kolbuszowski Żyd.

2. SZUKAJĄC KORZENI

Śladów po swoich przodkach szukało w Kolbuszowej wiele rodzin żydowskich. Często zwracali się oni do mojego dziadzia. Odwiedzali go Żydzi z Izraela i z USA. Na ogół byli to jego znajomi sprzed lat, odwiedzający rodzinne miasto lub ludzie przez nich kierowani. Zdarzali się również żydowscy turyści odwiedzający kolbuszowską synagogę. W latach osiemdziesiątych telewizja izraelska i amerykańska nagrywały film o Kolbuszowej. Przeprowadzili też wywiad z moim dziadziem. Odwiedziły go potem dwie osoby, które widziały ten film. Jedna miała powiązania rodzinne z Kolbuszową, druga zaś to młody mężczyzna, któremu Kolbuszowa była zupełnie obca, ale będąc w Krakowie postanowił tu przyjechać. Koniecznie chciał spotkać się, jak to powiedział „z człowiekiem z tego filmu”. Była też grupa młodych ludzi (20-22 letnich). Jedna z uczestniczek tej wycieczki bardzo chciała się spotkać z moim dziadziem, gdyż był on szkolnym kolegą jej dziadka. Udało się jej trafić do niego. Dziewczyna była bardzo szczęśliwa, że może dziadkowi przekazać informację o jego koledze ze szkolnej ławy.

Mieliśmy też dwie wizyty, które bardzo ucieszyły moją mamę. W 1998r. w drugi dzień Świąt Wielkanocnych odwiedziła nas Salka Rotchbard, serdeczna przyjaciółka mamy z lat dziecińczych. Odwiedziła Polskę po raz pierwszy od 1958 r. Obecnie nazywa się Sara Bar-Lev. Mieszka w Izraelu,

w miejscowości Haifa. Spotkanie to było wielkim przeżyciem dla obu pań. Największym zaskoczeniem jednak była wizyta w listopadzie 1999 r. pana Georga Plafkera z Los Altos w USA. Człowiek ten, zresztą jak większość innych osób szukał swoich korzeni. Natrafił na ślad w Polsce. O istnieniu mojej mamy dowiedział się od Normana Salsitz'a. Odbił długą rozmowę z mamą. Odjeżdżał z przekonaniem, że odnalazł w Polsce swoją rodzinę. Obie strony nie mogły jednak dokładnie określić pokrewieństwa. Przypuszczalnie jego ojciec był kuzynem mojego pradziadka, czyli Zeligą Plawkera. Obydwoje; tzn. zarówno pan Plafker jak i moja mama byli bardzo zadowoleni z tego spotkania. Dzień później mama rozmawiała z panem Franciszkiem Pączkiem (sąsiadem Plawkerów) o rodzinie swojego ojca. Stwierdził z całą pewnością, że nie było tu innych Plawkerów. Tak więc na pewno George Plafker jest naszym krewnym. Co prawda dziwna jest różnica w pisowni nazwiska („w” zamienione na „f”), ale to się często zdarzało. Nazwisko dziadzia również czasem pisane było przez „w”, a czasem przez „f”. Prawdopodobnie jest to w tej chwili jedyny krewny ze strony dziadzia. Wujek Berek z pewnością nie żyje. Urodził się w 1909 r., miałby więc teraz 92 lata. Utrzymywał z nami kontakt listowny, który się urwał kilka lat temu. Nie odezwał się nawet na wiadomość o śmierci swojego brata.

W Kolbuszowej zachowało się niewiele pisemnych śladów obecności Żydów. Wszystkie akta, dokumenty dotyczące tej narodowości zostały spalone przez Niemców. Do dzisiaj zachowało się 3/4 dawnej zabudowy rynku z czasów, gdy Kolbuszowa była miastem typowo żydowskim, a także niektóre budynki z innych części miasta. Zachowały się też dwa obiekty o charakterze religijnym: kirkut (cmentarz) i synagoga, w której odbywa się w tej chwili wystawa „Dawna Kolbuszowa i jej mieszkańcy”. Znajdują się tam m.in. nieliczne pamiątki po Żydach: balsaminki, lampa chanukowa, świecznik chanukowy. Są również подарowane przez mojego dziadzia atara i tablica, która znajdowała się na ścianie budynku rzeźni kahalnej (w którym mieszkał wraz z żoną). Napis w języku hebrajskim informuje o fundatorach tego budynku oraz o tym, że właśnie w tym miejscu znajdowały się pokoje noclegowe dla osób przyjeżdżających do synagogi. Cmentarz żydowski jest bardzo zdewastowany, ale od pewnego czasu porządkowaniem tego miejsca zajmują się kolbuszowscy harcerze.

Bardzo wymownym śladem współżycia społeczności żydowskiej ze społecznością katolicką jest herb naszego miasta, tzw. sztama kolbuszowska. Widnieją na niej dwie splecione dłonie. Jedna ma mankiet szerszy, który symbolizuje Żydów, druga zaś ma wąski mankiet - katolicki. Znajdują się tam dwa symbole: krzyż i gwiazda Dawida. Tarcza herbu ma błękitną barwę, co podkreśla jeszcze symbolikę herbu: zgodę, pokój, przyjaźń.

Żydów nie ma już w tej chwili w Kolbuszowej, ale ciągle żyją w pamięci starszych mieszkańców. I chociaż Żydzi opuścili nasze miasto, a pamiątki po nich są nieliczne, zostawili po sobie coś bardziej cennego - potomków.

Jakub Plawker (Jan Płaszczyński) w Kolbuszowej pozostawił swoją rodzinę - moja rodzina - ciągle żywy ślad . Co prawda wychowam jesteśmy w wierze katolickiej, ale czujemy silną więź z narodem żydowskim. Nasz dom stoi na działce, na której był kiedyś dom noclegowy i rzeźnia kahalna. Co ciekawe z okna mojego pokoju widać budynek synagogi i jednocześnie wieżę kościoła rzymsko-katolickiego. Zbieg okoliczności czy przeznaczenie.

LITERATURA

Bardan J., Dawna Kolbuszowa i jej mieszkańcy (komentarz wystawy), Kolbuszowa 1995 .

Bytnarowa Z., Wspomnienia, (maszynopis), Archiwum Historyczne MKL w Kolbuszowej, nr inw. 786.

Kotula R., Losy Żydów rzeszowskich 1939 - 1944. Kronika tamtych dni., Rzeszów 1999.

Maciągowa E., Moje wspomnienia, (maszynopis), Archiwum Historyczne MKL w Kolbuszowej, nr inw 336



*Pradziadek Asher Zelig Plawker. ur. W Kolbuszowej Dolnej w 1867 r.,
zmarł przed wojną*



Dziadek - Jakub Plawker w wieku 18 lat



*w środku ich matka Leah oraz jej wnuczka - córka Pinki
Zweckenbaun zd. Plawker*



*W pierwszym rzędzie Berek Plawker i Berta Plawker zd. Raich
(Pierwsza żona dziadka)*



*Pracownicy rzeźni Rappaporta. Od lewej: Kazik Dudziński,
Waserman, Dawid Kamer, Janek Dudziński, Jakub Plawker
(dziadek), Berek Plawker, Jędrzejowski*



Bracia Jakub i Berek - lipiec 1983 r.



Budynek kałalnej rzeźni drobiu podczas rozbiórki w 1978r., w którym mieszkał dziadek z babcią. W tle nowy dom, w którym obecnie mieszkamy.